Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. **No. 39.** Leszno, dnia 31. Marca 1838.



Mieszkania Kafrów w Natal, (w południowéj Afryce).

Murzyni tutejsi są więcéj czarnéj, niż czekoladowéj farby; a niektórzy z nich tak czarni, jak węgiel: średniéj wielkości i bardzo zwinni, zdolni do szybkiego biegu; a lubo nie mogą służyć za wzór czystości, walając się po brudnych lochach, lubią jednak łaźnią i codzień kąpią się w pobliskiéj rzece. Mężczyzni chodzą nago, kobiety z fartuszkami. Głowy swe strzygą, zostawując jednak na wierzchu głowy warkoczyk, który starannie zwijają, zdobiąc szklannemi koralami. Są obżarci, a szczególniéj na mięso chciwi: pięciu mężczyzn zje w przeciągu kilku dni całą krowę: surowe mięso jest dla nich rzadkim przysmaczkiem, ale, gdy im głód dokuczy, nie gardzą gąsiennicami, konikami polnemi i innemi owadami. Picie świeżéj żółci dodaje, podług wyobrażenia Kafrów, odwagi w boju, i dla tego mężczyzni przymuszają się do picia téj odrażającéj cieczy.

Prowincya Victoria, czyli Natal, należy do Anglików i ma 10000 mil kwadratowych: jest to kraj wewnątrz pusty, po brzegach tylko zamieszkały. Dzikich zwierząt jest tutaj wielkie mnóstwo, a pomiędzy temi zwierz Gnu zwany, mający nogi jelenie, kark koński, a głowę i rogi byka; a lubo nadzwyczajną szybkością i swą dziką postawą, mogłoby przestraszyć człowieka, ucieka przed nim, skoro go tylko spostrzeże. Lecz co gorsza, lwy i hieny zamieszkują te okolice, które jak są tutejszym mieszkańcom straszne, dowodzi ich sposób życia. Dla zabezpieczenia się w nocy od napaści dzikich zwierząt, nie śpią nigdy w swych chatach, lecz urządzają sobie napowietrzne, lwom nieprzystępne mieszkania. Missyonarz Moffat odrysował takie drzewo, na którego gałęziach chaty w trzech piętrach zawieszone wisiały: w każdéj chatce dwie osoby wygodnie pomieścić się mogły. A ponieważ robią się tylko z chróstu i słomy, przeto nie są zbyt ciężkie, wsparte starannie gałęziami. Drabin nie znają, po gałęziach pnąc się na drzewo, czego

lwy dokazać nie mogą. W innych okolicach całe wsie już nie na drzewach, lecz na wysokich palach osadzone, służą mieszkańcom za nocne schronienie, a we dnie cień dają. W innych znowu stronach mieszkańcy nie mają wcale stałych siedlisk, błąkając się z miejsca na miejsce i napadając się wzajemnie.

Przypadek officera polskiego w Hiszpanii.

W pamiętnikach Pani Junot, xiężnéj Abrantes, jest przytoczone następne zdarzenie, którego po części przynajmniéj bliskim świadkiem była.

Podczas nieszczęsnéj wojny hiszpańskiéj roku 1808, gdy wojska Napoleona cały prawie półwysep były osadziły; gdy Murat, wielki xiążę bergski, główne dowództwo miał w Madrycie, a jenerał Junot w Lisbonie, wydarzyła się Muratowi potrzeba wysłania gońca do Junota. Atoli we wszystkich prawie częściach kraju, patryoci hiszpańscy już byli powstali przeciw najezdnikom, a wszystkie drogi przecięte były dla posłańców francuzkich. Zostawał wtenczas dwór rossyjski w przyjaznych stósunkach z francuzkim. Udał się zatem wielki xiążę po radę i pomoc do hrabiego Stroganowa, posła natenczas cesarza Alexandra przy dworze madryckim; a to w nadziei, że pod znakiem i wróżbą poselstwa rossyjskiego, prędzéj mu się uda przesłać ustne przynajmniéj informacye do Lisbony. Ułatwiała pośrednictwo Stroganowa ta okoliczność, że flotta rossyjska pod admirałem Sieniawinem miała właśnie stanowisko swoje w porcie lisbońskim. Oświadczył się hr. Stroganow z wszelką uprzejmością, ale nie mając pod ręką officerów lub innych urzędników rossyjskich, którychby w tym względzie mógł użyć, zaproponował Muratowi, aby między polskimi ułanami gwardyi Napoleona (którzy właśnie byli w Madrycie), wybrał takiego, coby jakkolwiek po rossyjsku umiał, i za Rossyanina mógł uchodzić. — „Racz wasza „xięcia mość" (mówił Stroganow) „przysłać do „mnie takiego officera. Ja go opatrzę w mundur „naszego wojska, i dam mu od siebie depesze „do admirała Sieniawina. Spodziewam się, że „powstańce szanować będą mundur neutralny, a „zwłaszcza należący do mocarstwa, którego interessowani są nie narażać na siebie."

Niezmiernie był uradowany Murat z ofiarowanego mu sposobu, i umówił się w tym względzie z dowódzcą pułku polskiego. — Ten jak najłatwiéj znalazł ochotników do niebezpiecznego przedsięwzięcia. Musiał nawet wybór uczynić z dziesięciu do tego się ubiegających, i nazajutrz przyprowadził do wielkiego xięcia bardzo młodego officera. Miał bowiem ledwo lat ośmnaście.

Zdziwił się nieco Murat, że mu tak młodego przedstawiali posłańca, i zaczął tłumaczyć ochotnikowi wszystkie trudności i niebezpieczeństwa przedsięwzięcia. Uśmiechnął się na nie młodzieniec, i prosił o instrukcyą. Wreście dziękował bardzo wielkiemu xięciu, że go raczył wybrać między kollegami, którzy wszyscy o ten zaszczyt się starali. Udzielił mu zatem Murat ustne instrukcye dla jenerała Junota i posłał go do poselstwa rossyjskiego. Tam go przywdzieli, dali mu paszport i depesze do admirała, i natychmiast udał się konno w przekazaną podróż.

Pierwsze dwa dni podróżował spokojnie. — Trzeciego dnia napadnięty jest od powstańców, zrzucony z konia, rozbrojony i przyprowadzony do dowodzącego jenerała. Na szczęście młodzieńca tym dowódzcą był Castannos.

Nasz Polak zrozumiał natychmiast, że jeśli w najmniejszéj rzeczy poznany będzie za francuzkiego żołnierza, zginie bez ratunku. Postanowił zatem nie przemawiać tylko w rossyjskim, lub w niemieckim języku, które oba dość dobrze posiadał. Tłum, co go obstępował, zdawał się wściekłością przejęty, a kilka dni wprzód, jadący tą samą drogą jenerał francuzki René, pochwycony od Hiszpanów, zginął w ich ręku wśród najrozmyślniejszych męczarni.

Kto jesteś? zapytał Castannos młodego officera. Zapytał w języku francuzkim, (którym wreście mówił z łatwością). Polak patrzy na niego, trzęsie głową, i odpowiada po niemiecku: „Ich verstehe nicht."

Castannos rozumiał i mówił po niemiecku, ale nie chciał dłużéj zająć się podobną czynnością. Odszedł, polecając dalsze badania jednemu z podkomendnych.

Na wszystkie zapytania, które zawsze nierozumieć się zdawał, młody Polak odpowiadał to po rossyjsku, to po niemiecku. Ale nigdy nie dał się uwieść, aby choć jednę syllabę po francuzku wymówił. Mógł był jednak łatwo stracić przytomność, otoczony i ścisnięty od tłumu ludzi, czyhających na jego krew, i z niecierpliwością oczekujących na uznanie, że jest winnym, to jest innemi słowy, że jest Francuzem, aby natychmiast rzucić się na niego i rozszarpać na sztuki.

Takowe zburzenie umysłów powiększył jeszcze jeden nieprzewidziany przypadek. Adjutant Castannosa, fanatyczny patryota hiszpański, i który od pierwszéj chwili zatrzymania młodego Polaka oświadczył był, że to szpieg, przybiega do izby badań, prowadząc za sobą chłopa, w kaftanie ciemnokafowym, z kapeluszem śpiczastym, i wielkiém piórem szkarłatném. Adjutant przeciska się przez tłum otaczających ludzi, i stawiając chłopa przed Polakiem, mówi do niego: „Wpatrz się „dobrze na tego człowieka, i powiedz, czy to „Niemiec, Moskal, czy kto on jest?" To mówiąc, uderza adjutant nogą o ziemię i krzyknie: „Ja„kem chrześcianin, jak pragnę zbawienia wiecz„nego, jest to szpieg, i nic innego, tylko szpieg."

Tym czasem chłop wpatrywał się pilnie w młodego Polaka. Jedną razą oczy mu się zaiskrzą, uderza ręką o rękę, i woła na głos: „Es un frances! es un frances!“

I zaczyna opowiadać, jako przed kilką tygodniami będąc w Madrycie, gdy przywoził tam sieczkę na rekwizycye władzy wojskowéj, widział tamtego samego człowieka, bo to był właśnie officer od jazdy, który furaż przyjmował. I tak było w saméj rzeczy.

Castannos poznał może prawdę; ale był szlachetnego umysłu, i nie przez okrucieństwa chciał niepodległość ojczyzny swojéj ustalić. Przypuszczał, że ten człowiek mógł nie być Rossyaninem, ale bał się skutków, któreby niechybnie były nastąpiły, gdyby nasz młodzieniec był uznany za Francuza. Dał zatém rozkaz, aby puścili go na wolność. Ale wtém mnóstwo głosów odezwało się groźnie, i usłyszał nawet dowódzca, jak niejeden o zdradę go obwiniał. Nie miał już żadnéj mocy, wstrzymać wściekłości podkomendnych.

„Ale cóż zamyślacie!“ rzekł do swoich officerów Castannos, „czy chcecie nas powaśnić „z dworem rossyjskim, kiedy nam tak bardzo „o to chodzi, pozyskać go sobie?“ „Nie jenerale,“ odpowiedzieli officerowie, „nie chcemy Rossyi „urazić, ale racz nam pozwolić, żebyśmy tego „człowieka lepiéj wybadali.“

Młody Polak rozumiał wszystko, bo umiał po hiszpańsku. Wtrącili go do ciemnego lochu, podobnego do sławnych więzień inkwizycyi. Był już bez pokarmu od blisko dwudziestu czterech godzin, dodajmy do tego znużenie, niespokojność, i okropność położenia; rzucił się zatem jak martwy na rozpostartą słomę, odbiegły go zmysły, i wpadł w sen najcięższy.

Spał już od dwóch godzin, gdy drzwi więzienia otwarły się zwolna, wszedł ktoś do izby, zakrywając jedną ręką latarnią, którą w drugiéj nosił. Wtém nachyliła się postać ku leżącemu więźniowi, odkryła jedną razą latarnią, uderzyła w ramię śpiącego, a głos dźwięczny, łagodny, głos kobiecy, rzekł do niego po francuzku: „Czy nie chcesz pożywienia?“

Młody Polak, obudzony raptownie zabłyśnieniem światła, uderzeniem o ramię, i głosem niewieścim, porwał się z posłania, i ledwo oczy otworzywszy, mówi po niemiecku: „Was wollen Sie?“

Usłyszawszy o tém Castannos, zawołał: „Niechże zaraz jeść dadzą temu człowiekowi, niech mu osiodłają konia i niech sobie jedzie. To nie Francuz. Gdzieżby on tak niesłychaną mógł zachować przytomność!“

Ale Castannosa wola nie była prawem dla jego podkomendnych. Dali wprawdzie jeść młodemu Polakowi, ale konia nie osiodłali, a on sam pozostał w więzieniu przez całą noc. Nazajutrz rano, zaprowadzili go na miejsce, gdzie mógł przypatrzyć się trupom dziesięciu Francuzów, których okropnie byli zamordowali chłopi w Truxillos. Tam przez długi czas grozili mu nieustannie śmiercią męczeńską. Podzierany od setnych oczu i uszu, usiłujących podchwycić najmniejszy głos, najmniejszy znak zrozumienia francuzczyzny, nie zdradził się żadnym wykrzyknieniem, żadnym giestem, i po kilko-godzinnéj takowéj próbie, odprowadzili go do więzienia.

Przy zdaniu sprawy o tém drugiém badaniu jenerałowi Castannos, rzekł on do swoich officerów: „Mości panowie, równie przekonanym jestem, jak wy wszyscy, o potrzebie przerwania wszelkich związków między dowódzcami francuzkiemi. Ale w téj okoliczności, nie możemy postąpić z podróżnym officerem, jak z szpiegiem, na jedno tylko zeznanie prostego chłopa. Ten chłop mógł się zawieść, a na ten przypadek, stalibyśmy się lichemi zabójcami.“

Ale ten adjutant, co chłopa był sprowadził, zawziął się był wściekłością, aby przeprzeć i udowodnić swe zdanie. „I cóż“ rzekł „choćby nawet ten officer był Rossyaninem? wszakże i Rossyanie są heretykami, a do tego jeszcze w przymierzu z Francyą.“

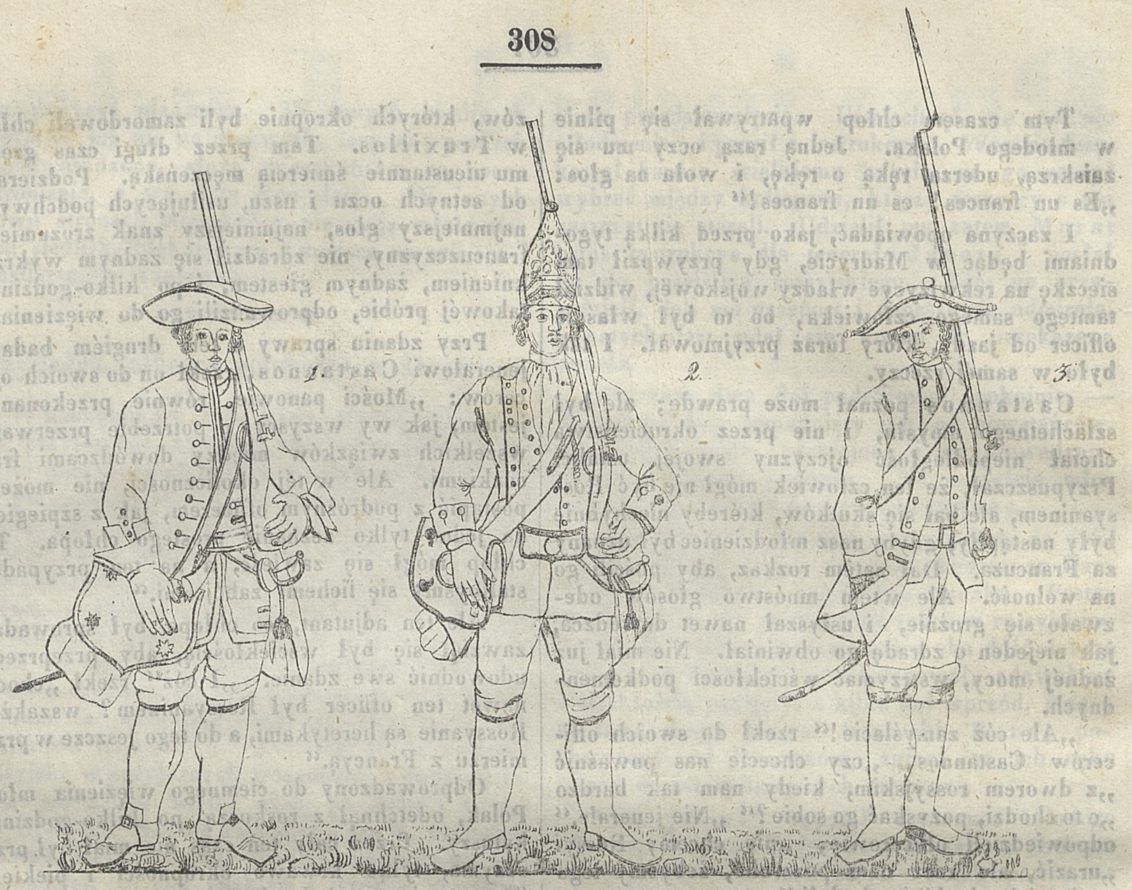
Odprowadzony do ciemnego więzienia młody Polak, odetchnął z roskoszą po kilko-godzinnéj katuszy. Przez cały ten czas nie miał był przed oczyma, tylko krwawe okropności i piekielne fizyognomie, co jadowitym spojrzeniem zdawały się co chwilę serce mu przebijać. Znękanie umysłu znowu go w sen wprawiło, a gdy już był w najtęższém uśpieniu, znowu się drzwi otwarły, ktoś pocichu zbliżył się do młodzieńca, i głos łagodny, tenże sam, który już raz usłyszał, obudził go, mówiąc do niego po francuzku: „wstań, wyjdź, będziesz wolny, już koń gotowy.“ Młody Polak porywa się na nogi i odpowiada po niemiecku: „Was ist's? wer sind Sie?“

Po téj trzeciéj próbie znowu Castannos nalegał, aby puścili podróżnego. Ale nie mógł przemódz nad zdaniem kommissyi wojskowéj, która młodzieńca koniecznie winnym znaleść chciała. Znowu zatém nasz Polak noc przebył w więzieniu. Rano, ledwo dzień był zajaśniał, czterech ludzi, a między innemi ten, co miał go widzieć w Madrycie, porwali go i przyprowadzili przed sąd, złożony z officerów sztabu Castannosa. Przez cały czas drogi, okropne mu groźby czynili, ale wierny postanowieniu udawał, jakby nic nie rozumiał.

Stanąwszy nakoniec przed sędziami, we wszystkich zagadnieniach zdawał się tylko giesta i wyraz niejako rozumieć, nie zaś słowa, i zapytał po niemiecku: „Wo ist mein Dolmetscher?“

Najprzód pytano się go o cel podróży z Madrytu do Lisbony. Odpowiedział na to, pokazując depesze posła rossyjskiego do admirała Seniawina i paszport rossyjski.

„Pytaj się,“ rzekł do tłumacza prezes kommissyi: „pytaj go, czy lubi on Hiszpanów; jeśli nie jest Francuzem.“ Tłumacz przełożył mu



Pod król. Fryderykiem I. — Pod król. Fryderykiem Wilhelmem I. — Pod król. Fryderykiem II.

zapytanie po niemiecku. „Tak jest," odpowiedział Polak w tymże języku: „lubię naród hiszpański i szacuję go dla mocnego i stałego charakteru, i chciałbym, aby nasze dwa narody zawsze sobie sprzyjały."

„Pułkowniku," rzekł tłumacz do prezesa po francuzku, „niewolnik nasz mówi, że nas nienawidzi, bo wojujemy, jak istotni bandyci, pogardza nami, i tego tylko żałuje, że naród nasz nie może być w jednéj głowie zebrany, aby mógł tę ohydną wojnę jednym zamachem ukończyć."

A podczas, gdy tłumacz tak mówił, oczy wszystkich sędziow śledziły uważnie najmniejszego wyrazu na twarzy obżałowanego, aby doświadczyć, jaki skutek na nim uczyni niewierność przekładu; ale młody Polak przychodząc na sąd, przewidywał, że będzie przygotowany na niego nowy jakiś podstęp, i wzmocnił się w postanowieniu, aby pozorną obojętnością wszystkie zniweczyć domysły.

Castanos był przytomny temu ostatniemu i mimo jego woli odbytemu badaniu. Rzekł nakoniec: „Dosyć już, ten człowiek nie może być posądzony. Chłop nasz musiał się zawieść. Uwolnić natychmiast officera rossyjskiego. Jeśli gdziekolwiek zdarzenie swoje opowiadać będzie, niech ma na względzie trudność naszego położenia, zniewalającą nas do podobnych ostrożności."

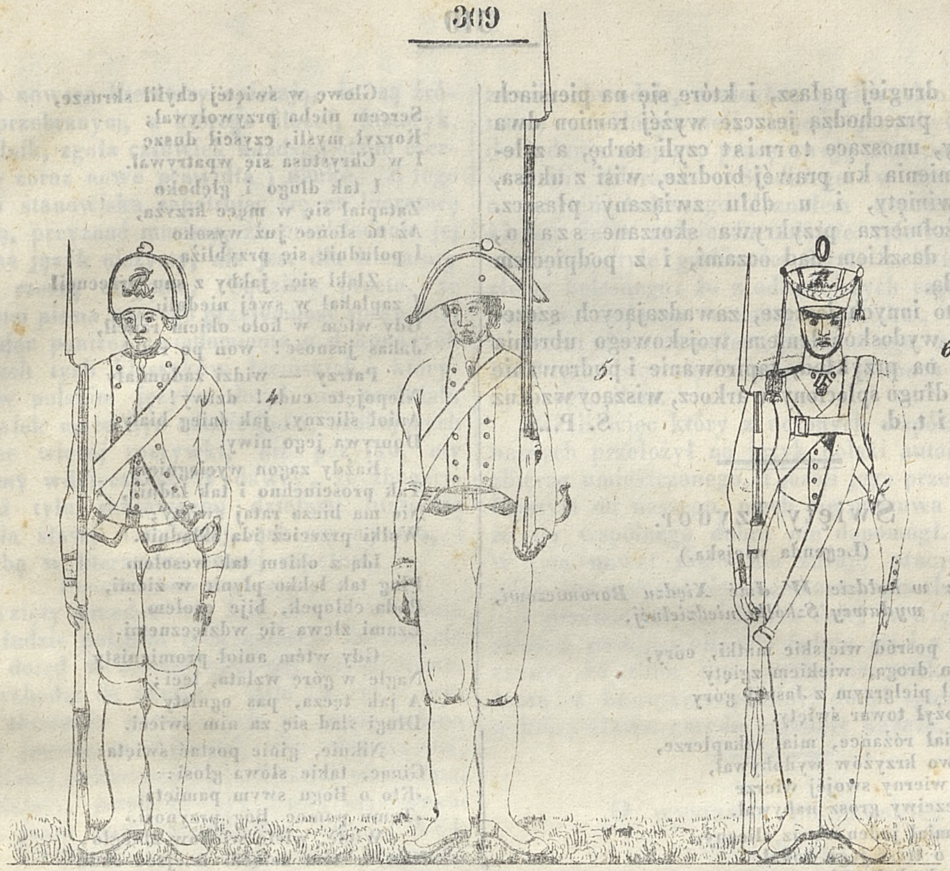
Oddali nakoniec młodemu ułanowi broń, konia, depesze, wręczyli mu glejt na pismie, i mężny ten officer wyszedł szczęśliwie z próby, może najtrudniejszéj, jaką wytrzymać zdoła dusza człowieka. Przybył za dni kilka do Lisbony, wypełnił u jenerała Junota dane mu polecenie i jeszcze się ofiarował wrócić tą samą drogą do Madrytu, ale Junot niechciał go już na to wystawić.

S. P..r.

Pruska piechota w różnych epokach.

Przyłączona rycina wystawia ubranie i uzbrojenie żołnierza piechoty pruskiéj w różnych czasach, zacząwszy od końca siedmnastego wieku. Szyk ten odpowiada wreście, mniéj lub więcéj, i innych krajów wojskowym w tychże czasach.

Pierwsze dwie figury wystawują piechotę pruską za panowania Fryderyka I. i Fr. Wilhelma I., to jest od roku 1700 do 1740. Jeszcze bagnet nie był używany, który w mieście francuzkim Bayonne wymyślony (i ztąd Bajonette przezwany), później dopiero do Niemiec się przeniósł. Broń krótka, grubéj roboty, ze stosunkowo długą, a zwłaszcza szeroką bardzo kolbą. Tą kolbą żołnierz trzyma nie ze spodu jak dzisiaj, ale z wierzchu. Pałasik dawnym zwyczajem nie wzdłuż ciała, ale prawie pod kątem



Pod król. Fryderykiem Wilhelmem II. — Pod król. Fryderykiem Wilhelmem III. przed, podczas i po wojnie 1813 i 1815 r.

prostym zawieszony. Ładownica nieforemnie wielka, nie w tyle, ale na przodzie wisi, i prawą rękę żołnierz na niéj trzyma. Wreście ubranie żołnierza w niczém jeszcze budowy ciała nie uwydatnia. Szeroko rozchodzące się poły munduru, wystawiają skład człowieka szerszym u dołu, jak u góry. Długa bardzo kamizelka połowę spodni przykrywa, a z dołu kamasze mocno jeszcze na spodnie zachodzą, i wyżéj kolan są umocowane. Żołnierz Fryderyka I. nosi jeszcze owe ogromne, z czasów rycerskich pozostałe rękawice, i płaski kapelusz. Wilhelmowski już bez rękawic, ale nosi kaszkiet na głowie, w kształcie poniekąd mitry biskupiéj.

Żołnierz Fryderyka Wielkiego, pod numerem 3cim, już ma więcéj wojskową postawę. Widać w nim tylko jakieś wymuszenie w przegięciu całego ciała na prawo. Mundur nieco gładziéj leży, jak w poprzedzających, ale spięty jest tylko pod szyją, a w dole się rozchodzi. Kamizelka jeszcze dość długa, pendentem ściągniona. Pałasik trochę więcéj już ku ziemi spada. Ładownica na tył sprowadzona. Kapelusz stósowany bardziéj długi, niż wysoki. Broń dłuższa, foremniejsza, z nastrzepionym bagnetem i żołnierz ją trzyma od spodu kolby.

Żołnierz Fr. Wilhelma II. pod numerem 4tym różni się od poprzedzającego więcéj spiętym mundurem, choć jeszcze nie nakrywającym kamizelkę. Ta choć nieco krótsza, jeszcze pendentem pod mundurem ściągnięta. Na głowie żołnierza mały kapeluszyk, bardziéj wysoki, niż szeroki, i tym sposobem skład kaszkietu nabierający. Na przedniéj ścianie kapelusza przybita jest cyffra panującego króla.

Żołnierz pod numerem 5tym jest już za panowania dzisiejszego monarchy, ale przed wojną francuzką. Kapelusz stósowany podłużny, mundur spięty na haftki, od szyi aż na brzuch; widać jednak poniżéj nieco kamizelki, pendentem ściągnionéj. Kamasze nie wchodzą już na spodnie, ale niżéj kolan są umocowane.

Szósta nakoniec figura wystawia żołnierza piechoty pruskiéj po wojnie francuzkiéj. Ten skład, po części od wojska rossyjskiego przyjęty, stał się odtąd wspólny większéj części wojsk niemieckich, i wielu innym europejskim. Korzystniéj się w nim wydaje postać naturalna człowieka, mniéj jest w nim części odrębnych w ubraniu żołnierza. Kołnierz spięty na szyi, a reszta munduru gładko do ciała przystaje. Ale daleko więcéj widać na żołnierzu zawieszonych pasów rzemiennych, bo ile możności wszystko na sobie nosić powinien, dla umniejszenia liczby wozów pociągowych za wojskiem. A zatem prócz dwóch pasów, na których wiszą, z jednéj strony łado-

wnica, z drugiéj pałasz, i które się na piersiach krzyżują, przechodzą jeszcze wyżéj ramion dwa inne pasy, unoszące tornist czyli torbę, a z lewego ramienia ku prawéj biodrze, wisi z ukosa, ścisle zwinięty, i u dołu związany płaszcz. Głowę żołnierza przykrywa skorzane szako, z małym daszkiem nad oczami, i z podpięciem pod brodą.

Ileż to innych jeszcze, zawadzających szczegółów z wydoskonaleniem wojskowego ubrania odpadły, na przykład, tapirowanie i pudrowanie włosów, długo spleciony warkocz, wiszący wzdłuż grzbietu i t. d. S. P...r.

Święty Izydor.

(Legenda wiejska.)

Przypisana w hołdzie W. Jmć Xiędzu Borowiczowi, wydawcy Szkółki niedzielnéj.

W pośród wiejskie matki, córy,
Znużon drogą, wiekiem zgięty
Zasiadł pielgrzym z Jasnéj góry
I rozłożył towar święty.

Miał różańce, miał szkaplerze,
Mnóstwo krzyżów wydobywał,
A lud wierny swojéj wierze
Za poczciwy grosz nabywał.

I miał jeden obraz śliczny,
Każdy o treść jego badał,
Pytał, słuchał gmin rozliczny,
A on tak mu rozpowiadał:

„O! niewiecie wy ludkowie,
Jak za dawnéj tam pamięci,
Byli z pośród was królowie,
Byli nawet nieraz święci.

Tam, gdzie tacy, jak my ludzie,
Wśród dalekie ztąd Hiszpany,
W ciągłych modłach, postach, trudzie,
Żył Izydor, Oracz zwany.

Takim, jak wy, był on chłopkiem;
Tak się, jak wy, męczył, nużył;
Przecież mnogich cnót dorobkiem
Myta niebios się dosłużył.

Dziki nad nim pan przewodził,
Sprzęgał z bydłem, kuł do taczek;
Krzywdził, więził, chłostał, głodził,
Wszystko święty zniósł prostaczek.

Zniósł, bo męki Jezusowe
Stokroć bardziéj go bolały,
Cierń, co w boską wrył się głowę,
Rany, co krew świętą lały.

Zniósł, bo sroższe widział dole,
Nieszczęśliwszych szereg długi;
Zniósł, bo wiedział, że tu pole
Nie nagrody, lecz zasługi.

I raz pan ów bez sumienia
Podwójną mu orkę zadał;
A w przypadku niespełnienia,
Straszną karę zapowiadał.

Westchnął biedny, wstał przed świtem,
Zaprzągł wołki uporczywe,
Szedł z spojrzeniem w ziemię wrytem,
I tak zawiódł je na niwę.

A że w każdéj trudnéj porze
Wprzód do Boga się odnosił,
U stóp krzyża kląkł w pokorze
I gorąco błagał, prosił.

Głowę w świętéj chylił skrusze,
Sercem nieba przywoływał;
Korzył myśli, czyścił duszę
I w Chrystusa się wpatrywał.

I tak długo i głęboko
Zatapiał się w męce krzyża,
Aż tu słońce już wysoko
I południe się przybliża.

Zląkł się, jakby z snu przecucił
I zapłakał w swéj niedoli:
Gdy wtém w koło okiem rzucił,
Jakaś jasność! woń po roli!

Patrzy — widzi zadumiały
Niepojęte cuda! dziwy!
Anioł śliczny, jak śnieg biały,
Doorywa jego niwy.

Każdy zagon wyciągnięty
Tak prościuchno i tak ładnie,
Nie ma bicza rataj święty;
Wołki przecież idą składnie.

Idą z okiem tak wesołem
Pług tak lekko płynie w ziemi,
Pada chłopek, bije czołem,
Łzami zlewa się wdzięcznemi.

Gdy wtém anioł promienisty
Nagle w górę wzlata, leci;
A jak tęcza, pas ognisty
Długi ślad się za nim świeci.

Niknie, ginie postać święta;
Ginąc, takie słowa głosi:
„Kto o Bogu swym pamięta,
„Temu pomoc Bóg przynosi.“

Wiele, wiele wieków zbiegło,
Nim w tém samém miejscu cudu
Wielkie miasto się rozległo,
A w niém mnóstwo zlało ludu.

Od poranku do wieczora
Nie zliczyłbyś gmachów licznych,
Ni w kościele Izydora
Wszystkich bogactw, wotów ślicznych.

Król po królu w świetném mieście
Włada, rządzi, rozkazywa;
A gdy przyjdzie umrzeć wreście,
Chłopka tego w pomoc wzywa. *) F. M.

Doniesienie literackie.

Znajdują się i w literaturze prawdy matematyczne, doświadczeniem i wiekami stwierdzone, zadnym zmianom smaku nieulegające. Do takich należy między innemi twierdzenie, że pisarze greccy i rzymscy są podstawą, na któréj się

*) *Przewartowawszy kilku autorów żywotów świętych, w których opatrzyć się mogłem, przekonałem się, że jak życie Śgo Izydora cicho po téj przepłynęło ziemi, tak kryślące je dzieje mało o nim wiedzą. Nie ma w nich wspomnienia o aniele orzącym; piszą tylko, że miał swojego władzcę nad sobą i że dziwiono się zawsze, iż tak wiele ziemi i tak dobrze uprawiał, zwłaszcza tyle czasu modłom poświęcając. Łatwo więc wyobraźnia ludu mogła wpaść na ten domysł, że Bóg mu przez zesłańca swego pomagał. Nie odrzuciłem tego podania, gdyż je w wierze i pieniach naszego ludu znalazłem, i bo wreście tyle ma w sobie poetyczności. Stósując się do miejscowości naszéj i obrazków, scenę tę wyobrażających, zamiast osłów, woły umieściłem. Zywoty święte dodają jeszcze, że wioska, w któréj urodził się Izydor, nazywała się Madrytem, który teraz jest stolicą Hiszpanii.*

wszystkie nowsze literatury opierają, że są źródłem nieprzebranym, z którego filozof, historyk, literat, rólnik, zgoła człowiek każdego stanu czerpać może coraz nowe prawidła i naukę. Z tego wyższego stanowiska zapatrując się na literaturę starożytną, przyznać musimy, że przekładanie jej płodów na język ojczysty, nie jest dla literatury krajowéj rzeczą obojętną. Sądzimy przeto, że czytelnikom pisma naszego przyjemność sprawimy, umieszczając poniżéj uwiadomienie o dokonanych przekładach tych klassyków łacińskich, którycheśmy w polskim języku dotąd nie posiadali. Jakiekolwiek może być zdanie ludzi, szukających w książce więcéj rozrywki, niż pożytku, my wynurzamy wdzięczność Wydawcy, że zbogaciwszy już tylu szacownemi dziełami literaturę naszą, dla sławy narodowéj, jak się wyraża, i tę szczerbę w literaturze naszéj zapełnił.

Uwiadomienie wydawcy.

„Powzięty przed ośmią laty zamiar wydania w przekładzie polskim tych autorów łacińskich, których dotąd w mowie ojczystéj nie mieliśmy, dziś przychodzi do skutku. Ośm lat czasu wymagało zbieranie potrzebnych mi materyałów, a więcéj jeszcze troskliwość, aby tłumaczenia, które uczonéj publiczności przedstawić zamyślam, odpowiedziały, jeżeli to być może, szacownym wzorom, jakie nam przodkowie nasi z XVI, XVII i XVIII wieku w téj mierze zostawili. Spóźnienie wydania naszego niech usprawiedliwi Horacyusz. Dana przez niego przestroga:

. . . . Si quid tamen olim
scripseris . . . .
. . . . . . nonumque prematur in annum.»

jest prawidłem, którego w żadném naukowém przedsięwzięciu, a szczególniéj w filologiczném, z oka spuszczać nie należy.

Zbiór niniejszy, jeżeli Bóg zdrowia i życia pozwoli, w następującym porządku na widok publiczny wydać zamyślam:

W roku 1837. wydałem Pliniusza młodszego, przekładu Romana Ziołeckiego.

W roku 1838. wydam Katulla, przekładu Szymona Baranowskiego; Tybulla, przekładu Andrzeja Moraczewskiego; tudzież Propercyusza, przekładu Szymona Baranowskiego.

W roku 1839. Wirtruwiusza o budownictwie.

W roku 1840. Pliniusza starszego, przekładu Józefa Łukaszewicza.

W roku 1841. Kwintyliana O mówcy, przekładu Józefa Łukaszewicza.

W roku 1842., dla dopełnienia Kwintyliana, Mowy sądowe tegóż autora, tłumaczone w roku 1769. przez X. B. M. Sirucia, Piara.

Wszystkie te przekłady już wykończone leżą u mnie w rękopismie.

W roku nareszcie 1843. wydam autorów De re rustica, z których Warro już jest na język ojczysty przełożonym, przez Michała Pokornego.

Wspomniawszy o autorach, których wydaję, należy mi jeszcze słów kilka o tłumaczach ich powiedzieć. W szczupłym kilku mil około Poznania obwodzie, znalazłem gorliwych o filologią naszę współobywateli, którzy przychylając się do żądania mojego, pracę swoję niniejszemu poświęcili zbiorowi. Słodkiego w tym razie, a przytém bolesnego doznałem uczucia; słodkiego: że w rodzinném mieście tyle zamiłowania nauk, tyle gorliwości i tyle światła znalazłem: bolesnego: że z odleglejszych części kraju naszego, żadnego uczonego zasiłku, żadnego wsparcia nie otrzymałem, pomimo tego, że w roku 1830 przedsięwzięcie moje w pismach publicznych ogłosiłem.

Jeżeli więc który z uczonych współziomków naszych przełożył na język polski autora w tym zbiorze umieszczonego, i jeżeli jego przekład jest lepszym od naszego, niech się poczuwa do winy, że do wspólnego dobra nie dopomógł. Lecz i w tym nawet razie nie żałuję pracy naszéj, gdyż ona przydać się może następnym tłumaczom, aby przetartym już śladem daléj z większą łatwością postępowali; nie żałuję jéj i z téj przyczyny, że zbiór ten zapełni szczerbkę wielką, którą w literaturze polskiéj dotąd spostrzegano, a którą sława narodu zapełnić kazała.

O wystawie poznańskiéj.

(Ciąg dalszy.)

Blisko okna był, mały obraz rodzajowy, Ukermarchii, przedstawiający wieśniaków, jedyny co zdołał wzrok widza od cudownego płodu Koekoeka oderwać, i zająć go właściwemi sobie pięknościami. Lekki pendzel malarza nasunął w nim mnóstwo narodowych i osobliwych znamion i ze starannością zupełnie wykończył. W obrazie tym, tak dokładnym, żebyś go za zbior rzeczywistych wizerunków poczytał, poznasz od razu rękę mistrza, poznasz dowcip jego autora i gieniusz wielkiego malarza: jest albowiem dziełem p. Schröttera z Dysseldorfu. Mistrz ten gienialny celuje nad wszystkich zręcznością swoją w charakteryzowaniu. Umieściliśmy dawniéj jego arcydzieło Donkiszota, zaczytanego w rycerskich romansach. Któż nie uznał, że stał się w nim godnym Cerwantesa w rysach twarzy, w rozżarzoném oku, w zachwyconym wyrazie, w nierządzie postawy i ubioru, słowem, w człowieku całym, każdy najozdobniejszy szczegół tchnie wyrazem zawziętego rycerza La Manchy. Chłopi ukermarscy, acz do podrzędnych płodów p. Schröttera należą, dowodzą wyższości jego talentu i tego właściwego mu taktu tak trafnego, że się utrzymywać umie na wązkiéj ścieżce, oddzielającéj dowcipną i satyryczną charakterystykę od karykatury; oraz zdoła przy najwydatniejszéj oryginalności przedmiotu całą jego godność zachować. Wpatrzyć się trzeba w jego dzieła, aby całéj ich wytworności zakosztować. Nie wydołałby ich autor tylu trudnościom, gdyby niebył zarazem najzręczniejszym w skreślaniu lekkich fantazyjnych zarysów, jakiemi n. p. pierwszą stronnicę dzieła A. hr. Raczyńskiego przyozdobił. Wrodzona ta lekkość pomysłów, dozwoliła mu pojmować charakterystyczne rysy swych przedmiotów, a odrzucać powszednie lub szpetne. Porównajmy go z Hogarthem, a całą różnicę obu ludzi, obu narodów, obu wieków zobaczym. Hogarth, pełen dowcipu i od Anglików tak zwanego humoru, uwiecznił się swemi karykaturami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Karól Kurpiński.

Dyrektor muzyki teatru narodowego w Warszawie, członek b. tow. przyj. nauk.

Karól Kurpiński, obecnie dyrektor muzyki w Warszawie, godzien zająć miejsce w pismie naszém obok Chopina i Karóla Lipińskiego: nie ma on tyle sławy europejskiéj, co dwaj pierwsi artyści; ale talentem swoim gorliwiéj podobno, niż tamci, ziomkom swoim służy; ztąd większe ma prawo do naszéj wdzięczności. Kompozycye jego, powiększéj części narodowe, nie mają wprawdzie głębokości niemieckich, ani świetności francuzkich i włoskich mistrzów, ale się odznaczają ową słodyczą harmonii i wdziękiem fantazyi, które szczególniéj przemawiają do serca, i jakieś w nim miłe budzą uczucia. Szkoła Kurpińskiego na fortepian podług Plejla, Dusseka i Cramera, jest w ręku wszystkich uczniów. Potpourri, napisane dla Krogulskiego, sprawia zadziwiający effekt. Polonezy jego do najpiękniejszych należą. Opery jego narodowe, mają niepospolitą wartość i dobrze były od publiczności przyjmowane. *)

*) Jeżeli ta krótka wzmianka o narodowym artyście, pobudzi kogo z miłośników muzyki do gruntowniejszego ocenienia zasług i talentu p. Kurpinskiego, redakcya jak najchętniéj umieści ten artykuł w swém pismie, i prosi o to.

Spis rzeczy Przewodnika Rólniczo-Przemysłowego w Nrze 23.

Nakładem i drukiem Ernesta Gunthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)